

Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.



Dwór klasycystyczny, 1791, zw. Du-Chateau w Hrubieszowie, obecnie Muzeum, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Kryzys ekonomiczny lat trzydziestych XX w. zmusił mojego ojca do przyjęcia propozycji zorganizowania Banku Spółdzielczego dla rolników i ziemian, w małym miasteczku powiatowym, w Hrubieszowie (ojciec był z zawodu finansistą).

Niestety, wiązało się to z opuszczeniem własnego domu w Zamościu. Widać, jednak była to konieczność, a posada dyrektora banku na tyle intratna, że dawała możliwość utrzymania rodziny na średnim poziomie. Zamieszkaliśmy wtedy w reprezentacyjnym miejscu, najpiękniejszym w mieście domu-dworze państwa Du Chateau, zajmując całą oficynę (wówczas była tylko jedna po prawej stronie patrząc na front pałacu). Dom był samodzielny, parterowy, czteropokojowy z kuchnią i przedpokojem oraz z gankiem drewnianym od frontu. W mansardzie znajdował się uroczy pokój z oknem wychodzącym na stronę południową na płaski dach nad dworską kuchnią. Do tego

pokoiku wchodziło się po kręconych schodach prosto z jadalni. Schody były podparte drewnianym słupem malowanym olejną farbą, co dawało pewną śliskość. Używaliśmy go do skracania drogi i małych wyczynów. Zawsze bracia byli szybsi ode mnie. Duży pokój – jadalnia posiadał okna na dwie strony zajmując całą szerokość budynku oficyny. Od strony zachodniej dwa okna na zieleń i podwórze i jedno wychodzące na front z klombem i okrągłym podjazdem, jak to zazwyczaj było w dworach polskich.

Dwór – pałacyk datowany w naczółku „1791” był może nawet wcześniejszy i zapewne budowany przez ostatniego starostę Hrubieszowa, miasta królewskiego, Franciszka Salezego Potockiego częściowo na terenie dawnego, drewnianego zamku królewskiego, zniszczonego przez Chmielnickiego w 1648 r. Przed dworem i wzdłuż ogrodzenia od ulicy 3-go Maja (wcześniej zwanej Pańską) rosły duże drzewa – jesiony i było dużo krzewów i zieleni otaczającego dwór spacerowego parku. We dworze mieszkali właściciele i mieściła się apteka z wejściem spod portyku. Po naszej stronie, w symetrycznym układzie dwa okna po bokach ganku. Sypialnia rodziców po prawej stronie od przedpokoju i na lewo pokój jadalny. Moje ukochane okno na gazon było świetnym miejscem, z którego przyglądałam się życiu. Zasypiałam w małżeńskich łóżach rodziców w obecności ukochanego ojca, który zawsze klęcząc obok odmawiał wieczorny pacierz. Nie pamiętam, by mi kiedykolwiek coś opowiadał, dlatego pewnie tak mało wiem o jego rodzinie.

Pokój moich braci sąsiadował przez ścianę z sypialnią rodziców, stąd świetnie wiedzieli co tam się dzieje. Niejeden raz bijatyki uprawiane nader często przez chłopców zmuszały ojca do interwencji. Słysząc wtedy było w całym domu klap, klap... w jedną stronę, potem zalegała cisza i znów klap, klap – powrót, bez słów. Siostrę miałam okrutną. Nie pozwalała mi spać w pokoju przeznaczonym dla nas obu, straszyła mnie duchami, a jak beczałam, zawijała w kołdrę i znosiła na dół na kanapę. Wtedy był prawdziwy ryk i ojciec zabierał mnie z powrotem.

W przedziwny sposób z domem tym związało się kilka wątków mojego życia. Ale może po kolei.

Lata przedwojenne były syte i pełne radości, rytmiczne bo odmierzane czasem pracy ojca, na którego czekałam już w przedpokoju, zaraz po 15-tej. Takie było codzienne powitanie: ojciec unosił mnie wysoko, wysoko (miałam wtedy 4-6 lat), a ja pytałam o

„losy” i „kaliptusy”, które zawsze dostawałam. Losy to były jakieś niewykorzystane druki reklamowe banku, a „kaliptusy” – cukierki eukaliptusowe, moje ulubione do dzisiaj. W parę minut po przyjsciu ojca zasiadaliśmy sześćoosobową rodziną do stołu, do obiadu. Zwyczaj wspólnych posiłków utrzymał się przez wszystkie wspólne lata. Przy dużym, dębowym stole stanowiącym komplet z innymi meblami rodziców, które ojciec sam projektował i dawał wykonać ze specjalną myślą o domu w Zamościu, każdy miał swoje stałe miejsce i swoją serwetkę obok talerza. Z rozczuleniem, po latach, odnalazłam ten zwyczaj w dalekiej Szwecji, w domu przyjaciół, u baronostwa Hermelinów, do których kilka razy jeździłam w latach 1967-1975.

Przed rozpoczęciem obiadu cała nasza czwórka według starszeństwa, ze mną na końcu, poddawała się torturom picia tranu, którego wprost nie znosiliśmy. Szykowano więc kosteczki chleba, solono czubeczek łyżki, zatykano nos i obiecywano np. pójście na ślizgawkę lub na kajak latem, byleby tran był wypity. Po takiej ceremonii rzucaliśmy się szybko do talerzy z gorącą zupą, by zabić oleistość i ten zapach... Po obiedzie, w zależności od pory roku i pogody wybieraliśmy się do ogrodu, w którym była altana z trejażu (treillage) obrośnięta pnączami i spacerowe alejki. Rosło dużo rzadkich gatunków krzewów, jak magnolie wielkokwiatowe, liany, octowce wówczas rzadkość i srebrne świerki. Ogród był zaplanowany i prowadzony jako spacerowo-dekoracyjny, z wysokimi szpalerami przycinanych grabów, alejami i wystawą kwiatową na południe ku śluzie na Huczwie. Warzywnik był obok, odgradzony. Właśnie na granicy parku i przy domu schodzącego warzywnika pamiętam tajemnicze wejście do lochów, o których moi bracia opowiadali dreszczem przejmujące historie. Śmiałkowie, którzy usiłowali zgłębić długość korytarza i kierunek, zawsze doznawali przykrych przygód: a to świece im zgasły, a to ktoś ich pobił lub nastraszył. Czy była to zwykła, dawna lodownia dworska, czy pozostałość piwnic starego zamku – trudno dzisiaj powiedzieć. Ślad po tym zaginął.

Stefan Du Château – profesor, konstruktor, architekt z Paryża wspominał podczas spotkania w Hrubieszowie, jesienią 1992 roku o swojej przygodzie, gdy młodzieńcem będąc wszedł w jakiś otwór lochów w rynkowych zakamarkach, a wyszedł gdzieś nad rzeką. Były więc z pewnością lochy pod częścią miasta, o czym wielu wspominało, jak chociażby Golejewski w „Pamiętnikach”. Były, bo być musiały ze względu na konieczność ciągłej obrony przed Tatarami. Napadali i palili miasto 9 razy i dopiero

Jan III Sobieski skutecznie położył temu kres w 1672 r.



Babunia, Maria Joanna Anzelmowa z Moszyńskich De Schmieden Kowalska z córkami. Siedząca (bez torebki) matka Teresy Żurawskiej.

Przypominam sobie zdarzenie z pierwszych miesięcy po opuszczeniu miasta przez wojska niemieckie w 1944 r. , rozpowiadane między ludźmi, którzy w środku słonecznego dnia zobaczyli starego człowieka wychodzącego z piwnicy wprost na ulicę. Był pergaminowo blady, przestraszony, słaby i zdeterminowany. Przechowywał się w lochach przez lata pogromu żywiąc się pewnie jabłkami i towarami, które tam magazynowano. Biedak, nawet nie wiedział, że wojna się dla tej części Polski skończyła.

Te słynne podziemia mogą sięgać jeszcze XVI w. gdy Hrubieszów był warownią ze

wspomnianym już zamkiem królewskim, założonym przez Władysława Jagiełłę w 1400 r. W imieniu monarchy rządu tą królewsczyzną, niezbyt cenioną, sprawowali starostowie. Toteż królowie zastawiali ją za grube pieniądze pożyczane od owych możliwych starostów. O tym wszystkim dowiedziałam się już teraz, mając propozycję napisania referatu o dziejach Hrubieszowa w XIX w., gdy podlegał administracji carskiej Rosji. Sięgnęłam więc z zainteresowaniem do samych początków i szeroko otwierałam oczy dowiadując się, że był założony na wyspie otoczonej ramionami Huczwy, jej rozlewisk i bagien. Ostatnim prywatnym posiadaczem dominium hrubieszowskiego był sam ksiądz Stanisław Staszic, który właśnie tutaj założył pierwszą w Polsce spółdzielnię „Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie” (1816) uwalniając chłopów od pańszczyzny pół wieku wcześniej niż stało się to pod zaborami. Ziemia przeszła na własność chłopów, ale żeby to prawnie uczynić musiał najpierw nabyć ziemię na własność, a jako syn mieszczanina nie miał do tego tytułu. Starano się więc o to długimi zabiegami prawnymi, za pośrednictwem Ignacego Cetnera oraz jego córki Anny i wreszcie po latach doczekał się realizacji swojej idei. Chyba jednak we dworze nie zamieszkał, co najwyżej, mógł się w nim zatrzymywać lub na plebani, gdzie później urodził się Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

Z dzieciństwa ostatnich lat przed II wojną światową pamiętam same dobre i szczęśliwe dni. Nasze spacerunki nad Huczwą, pływanie kajakiem hen daleko aż pod most kolejki wąskotorowej, kąpiel w bagnistej wodzie pełnej szuwarów, strzałki wodnej, nenufarów i innych zielsk, którymi oplatały się wiosła, a podczas kąpieli nogi grzęzły. Było tam malowniczo i jedynie w swoim rodzaju. Huczwa wiła się wśród łąk i pod zwisającymi nad nią starymi drzewami, którymi obsadzano kiedyś obrzeża ogrodów przydomowych na spadającym lekko stoku ulicy początkowo zwanej Młyńską.

Na spacerunki chodziło się po pachnących łąkach tak elastycznych, że odnosiło się wrażenie, że stąpa się po gumie – miękko i przylepnie. Tylko w okresach długiej suszy ziemia pękała tworząc szczeliny lub siatkę drobnych spękań. Były to wspaniałe torfowiska. Ojciec zabierał nas także na spacerunki do niezbyt odległego lasu, Bohorodycy. Podczas jednego ze spacerów, zauważyłam dziwne podenerwowanie ojca. Pierwszy raz wydał mi się zupełnie inny. Był zdenerwowany, wręcz wzburzony patrząc na rozbieraną w dali drewnianą cerkiewkę. Tumany pyłu co chwilę przysłaniały wyrazistość tego widoku. Słysząc było trzask łamanego drewna i huk rzuconych belek. Tatusiu, dlaczego burzą kościółek? – zapytałam. Ci, to tylko

wykonują polecenie, ale tamci nie mają racji – powiedział jakby do siebie ojciec. Nie rozumiałam wtedy kto są „tamci”. Ale więcej nie pytałam. Dzisiaj wiem, że był to wielki błąd polityczny, który wkrótce odwrócił się zemstą i nienawiścią Ukraińców do Polaków – codziennie podpalane miasta i palenie okolicznych wsi. W latach okupacji dotkliwie to odczuwaliśmy. Zastrzelono np. doktora Kuczewskiego, który był opiekunem placówki PCK w Hrubieszowie, pomagał ludziom materialnie, leczył i chronił przed wywózką młodzieży do Niemiec na ciężkie roboty.

Z hrubieszowskich, przedwojennych lat pamiętam życie towarzyskie moich rodziców, oczywiście na miarę prowincji, ale bardzo ożywione. Mama należała do Sodalicii Mariańskiej – organizacji katolickiej skupiającej miejscową inteligencję i okoliczne ziemiaństwo. Organizowano tzw. „herbatki” z występami artystycznymi młodzieży, „opłatki” z choinką i śpiewaniem kolęd. Kiedyś i ja wygłosiłam wierszyk, ale z miernym efektem, bo zapomniałam dygnać. Ile się potem w domu nasłuchiłam od siostry! Kiedy indziej zapomniałam na początku powiedzieć autora czy tytułu – i znów była bura. Strasznie mnie to stresowało, a nikt nie pomyślał, że mam wrodzoną nieśmiałość, która mnie do dzisiaj paraliżuje w bardzo ważnych momentach życia. Pokonywałam samą siebie, ale ile to mnie kosztowało?... Przecież na całej mojej drodze zawodowej musiałam mówić stając przed ludźmi czasem niezwykle, słynnymi, już sama świadomość unieruchamiała mózg, a tu trzeba było trzymać się na nogach, nie wymachiwać rękoma, bez żadnego zbędnego gestu, dobierać odpowiednie słowa i przecież nie tylko polskie. Pokonanie tego wszystkiego i uruchomienie szarych komórek z wiedzą natychmiast potrzebną – zawsze mnie drogo kosztowało i nigdy nie byłam z siebie zadowolona. Pochwał też nie było, czasem grzecznościowe podziękowania, z których naturalnie cieszyłam się, ale nigdy nie oczekiwałam. Moim spełnieniem się jest praca naukowa w bibliotekach, archiwach, poszukiwanie dokumentów, dochodzenie do prawdy historycznej, odkrywanie faktów dotąd nieznanych, pisanie o tym i opracowywanie w zaciszu domu czy pracowni muzealnej. Z wyborem zawodu trafiłam w dziesiątkę, chociaż nie była to pierwsza dziedzin z ulubionych. Jestem szczęśliwa i uważam, że swój czas wykorzystałam maksymalnie, nie marnując ani jednego dnia. Może to wszystko, co dał mi Hrubieszów ukierunkowało dalszą drogę, którą poszłam i dalej jeszcze idę. Taką prostą i przejrzystą, jak krajobraz znad Huczwy.



Mama (Eleonora Fabijańska) wącha różę

Najbardziej lubiłam okres przed Bożym Narodzeniem. Pierwszy śnieg, rześkie powietrze, wygwieżdżone niebo. Wieczne zakupy w sklepach Hapońskiego i Baty, powrót do ciepłego domu z mnóstwem pakunczków zawieszonych na ozdobnych sznureczkach, ładnie opakowanych. Jakież Hrubieszów wydawał mi się wielkowiejski ze swoimi dziś nieistniejącymi, prywatnymi sklepami. Był ich cały szereg w zachodnim rogu dawnego rynku bardziej i mniej eleganckich, drewnianych witryn z perfumierią, sklepem bławatnym i obuwniczym na czele. Cóż to była za radość i duma z posiadania pierwszych w życiu czarnych lakierów, kupionych specjalnie na ślub kuzynki Lili Piątkowskiej.

- O, właśnie widzę sznur sań dworskich, które zajeżdżały przed dwór z gośćmi weselnymi z odległego o 7 km Czumowa. Para Młoda podjechała najmodniejszym

wówczas samochodem marki buck, na kołach o drewnianych szprychach, chyba jedynym jaki był w Hrubieszowie. Zdaje się, że właścicielem był pan Juliusz Du Château, gospodarz dworu. Przystanek z przebieraniem był u nas. Obserwowałam kreacje pań, fraki panów i usiłowałam sobie wyobrazić bal, na który mnie nie zabrano. Ale przy ślubie byłam ważna, prawie jak panna młoda. Niosłam długi, długi tren, a Dzidka Brojevska welon. Ach, co to był za ślub...! - Szereg par ustawionych w orszak zaczynał się przy ołtarzu, kończył pod chórem. Tata wbił się we frak, mama miała szytą specjalnie na tę okazję suknię z pięknego aksamitu w kolorze mchu z dodatkami z morelowej tafty. A więc kołnierz á la Maria Stuart, stojący, podbity taftą, dół sukni z trenem, udrapowany pasek zakończony był riuszką z tejże tafty. Te dwa kolory bardzo mi się podobały i stały się ulubionymi na całe życie. Uwielbiam też welury, miękkie aksamity, mięsiste i lejące, otulające sylwetkę.

Mama miała jeszcze drugą suknię, lżejszą, przygotowaną na wesele. Jedwab ciemnoszary w drobniutki biały wzorek. Przód był ułożony w draperię spiętą dużym, sztucznym srebrzystym kwiatem. Nie pamiętam jej długości, ale chyba zgodnie z modą lat trzydziestych była długa i swobodna. Fryzura w głębokie fale na bok spadające. Włosy naturalnie srebrzące się (mama wcześniej osiwiła) długie, upięte w kok nad karkiem. Była taka ładna, ojciec był bardzo przystojny, postawny. Twarz spokojna, owalna o wysokim czole i niezbyt obfitym owłosieniu, zawsze uśmiechający się. Byli szczęśliwi. Siostra moja, Ela jako pierwsza družka w różowej, dziewczęcej sukience suto marszczonej, podobnej do krynoliny, z dopasowanym gorsecikiem ozdobionym pękiem sztucznych, różowych różyczek i takimże wianuszkiem na czarnych włosach utrefionych przez fryzjera we francuskie loki, ścisnęła w dłoni torebeczkę - woreczek z tej samej tafty. Wszystkie te dodatki długo przechowywała w kwadratowym, eleganckim pudełku z ozdobnej złotym wzorkiem tektury, w którym przyjechały z Warszawy. Lili suknia chyba też była kupiona w Warszawie lub szyta. Biały atlas podkreślał jej kobiece już kształty, chociaż miała zaledwie lat osiemnaście. Długi rękaw, bez dekoltu, gładka i dopasowana z trenem. Welon dopasowany do kształtu głowy i delikatny, biały kwiat. Wacek oczywiście w czarnym fraku, wypomadowany i upudrowany. Był pedantem czystości i bardzo dbał o estetykę wyglądu. Był dużo starszy od Lili, miał chyba 30 lat i jako znakomity fachowiec, po rolniczych studiach zarządzał majątkiem ziemskim cioci Niusi, matki Lili. Nie taki mariaż marzył się cioci, a przede wszystkim nie zaraz po maturze. Ale

małżeństwo okazało się trwałe. Mieli pięcioro dzieci (trzecie z kolei, maleńka Zosia zmarła w niemowlęctwie). Czwórka udanych, zdolnych, zaradnych chowała się dobrze, troje jeszcze żyje: Maryla, Andrzej i Jaś. Wacek po ślubie usamodzielniał się, najpierw jako zarządca majątku w Trzeszczanach, a wkrótce jako dziedzic na Wiszniowie.

Wracając do pamiętnego ślubu, jako dziecko przeznaczone do niesienia trenu, ubrana byłam w lekko kremową jedwabną sukienkę z koronkowymi falbankami, wiązaną z tyłu na kokardę. Kokarda w kształcie motyla siedziała także na mojej czarnej łepetynie. Białe pończochy i czarne lakierki dopełniały całości. Dzidka miała błękitną, aksamitną sukienkę z karczkiem i szczypankami, na których przede wszystkim rzucały się w oczy kolorowe, haftowane pajęczki. Takie sukienki ozdobione białym kołnierzykiem bebe ogromnie były modne i kupowało się je gotowe sklepach. Dzidka miała przywiezioną z Warszawy. Podczas ceremonii ślubnej odbywającej się wieczorem 2 lutego 1938 r. kościół św. Mikoła w Hrubieszowie, tonął w światłach i świecach. Wszystko, co było możliwe, jasno się paliło. Wypełnili go licznie zebrani goście weselni i zwykli gapie. Przejęta swą rolą, czułam się jak aktorka, na którą wszyscy patrzą. Staralam się więc nie ruszać, nie rozglądać i być poważną. Ile miałam wtedy lat? - a no pięć i pół. Po uroczystości w kościele weselnicy odjechali do pobliskiego Czumowa na wesele w pałacu. My, dzieci, zostaliśmy w domu. Odczułam z tego powodu wielką niesprawiedliwość, tym bardziej, że Dzidka została zabrana, a przecież obie byłyśmy rówieśniczkami. Takie to były pierwsze, dziecięce gorycze, których nie zwierzyłam nikomu. Może nie miałam odwagi?

Z czasów przedwojennych pamiętam święta te największe i te państwowe, jak Konstytucji 3-go Maja bardzo uroczyście obchodzone. Również Boże Ciało kiedy to sypałam kwiatki podczas procesji w białej sukience i w wianuszku. Zachowało się amatorskie zdjęcie naszej czwórki siedzącej na stopniach ołtarza, który umieszczono na naszym ganku. Ostatnia Wielkanoc zapisała się w mej pamięci obfитоścią stołu wielkanocnego, którym było biurko taty stojące między oknami w jadalni. To było prawdziwie dworskie święcone. Na białym obrusie stały baby lukrowane i ozdobione skórką pomarańczową (cykatą), kiełbasa biała zwinięta w wianuszek utopiona w smalcu, szynka w całości gotowana, pasztet szpikowany paseczkami słoniny wyglądający jak tort, obok na tacach mnóstwo mazurków, na środku duży biały

baranek z chorągiewką czerwoną i złotym krzyżem na niej malowanym i kolorowe jajka - kraszanki. Barwinek z ogrodu, pierwsze, wiosenne kwiaty (Wielkanoc w 1939 r. była 9 kwietnia) uzupełniały tę bardzo smaczną kompozycję. Poświęcił nam to wszystko ksiądz prałat Melchior Juściński, z którym rodzice przyjaźnili się. Przez długie lata był proboszczem w Hrubieszowie.

Moje lalki też miały święcone: miniaturowe jajeczka, łeb świński, różową szynkę i mazurki - wszystko z marcepanu, przysłane przez ciocię Milusią, mamy siostrę z Warszawy. W pamięci hrubieszowskich lat dziecięcych zostały także zabawy. Te w ogrodzie z braćmi i te bardziej przeze mnie lubiane z Olesiem Du Château np. w „panią i szofera” na starej platformie do rozwożenia piwa i wód gazowanych, która stała pod wiatą w podwórzu.

Chodziliśmy czasem do apteki i tam ciocia Gienia (ciocia Olesia - farmaceutka) dawała nam sok malinowy do okrągłych białych opłatków, w które apteki sypały zazwyczaj medyczne specyfiki. Nam to bardzo smakowało. Nawiasem mówiąc prywatna apteka rodziny państwa Du Château istniała w Hrubieszowie w tym dworze od 1850 r. od kiedy i dwór zaczął należeć do tej francuskiej rodziny, która wybrała Polskę na drugą swoją ojczyznę. Zajmowała dużą część lewego parteru z wnętrzami przesklepionymi i obszernymi. Rodzice Olesia i maleńkiego wówczas Jasia, państwo Maria z domu Mazaraki i Juliusz Du Château mieszkali do 1939 r. zajmując najpiękniejsze wnętrza od frontu i od ogrodu z wejściem przez taras. Urządzone były z ogromnym smakiem, stylowo i po dworsku z salonem na osi, w którym stał fortepian, z sypialnią po stronie apteki, jadalnią od kuchni w dobudówce o płaskim dachu i z pokojami dzieci od frontu. Przed tarasem rosły piękne magnolie, srebrne świerki i zataczały półkole grabowe szpalery. Góra dworu - piętro, w tych latach nie było zamieszkane.



Rodzina Fabijańskich: mama (Eleonora), Witek (Wiktor), tata (Józef), Julek (mały - Juliusz) i Ela (Elżbieta)

Kiedyś była większa wyprawa w tę część, którą zapamiętałam jako niezwykłą przygodę. Wydawało mi się, że znalazłam się w bajkowym świecie. Do dzisiaj jawi mi się jak sen. Ściany hallu wyłożone szarzą, białą lakierowaną boazerią, udawały pewną przytulność wewnątrz. Stąd rozchodziło się mnóstwo pomieszczeń. Czułam specyficzny zapach staroci i rozsychniętego drewna. Przez uchylone drzwi ukazał mi się pokój dziecienny pełen starych, nieużywanych zabawek. Jednak ktoś tam utrzymywał porządek, sprzątał, odkurzał, bo nie robiło to wrażenia rupieciarni, raczej kultu dla pamiątek po kimś. To był zaczarowany świat, do którego bałam się wejść. Podłoga skrzypiała za każdym stąpieniem. Deski (zapewne kiedyś przykrywał je dywan) też były malowane. Zabawki cudowne, jakich nigdy w życiu nie widziałam, zdradzały zamożność domu i nie przypominały tych ze sklepów. Jak w „Laleczce z saskiej

porcelany” czy „Wieszczce lalek”, których wtedy jeszcze nie znałam, jawił mi się ciemnozielony kufer pełen pajacyków, kolombin, arlekinów, lalek w krynolinach i w białych peruczkach. Chciało się pociągnąć za sznurki, by zaczęły tańczyć, ruszać się i śpiewać. Była też mała scena dla kukiełek z jedwabną, rozsuwaną kurtyną. Inne zabawki leżały na półkach: żołnierzyki w strojach z okresu Księstwa Warszawskiego, dobosze, księżę Józef Poniatowski na koniu. Szabelki, konie na biegunach i porcelanowe lalki o słodkich buziach z prawdziwymi włosami, przepięknie ubrane w koronkowe suknie – to było czarujące spotkanie z przeszłością.

Po trzydziestu latach, ten obraz spowodowany jasnym kolorem i zapachem rozsyhajających się boazerii, powrócił tak wyraziście w Petit Trianon Marii Antoniny, bardzo wówczas zaniedbanym (1969). Nasunęło mi się skojarzenie, jakiego doznałam w czasie zwiedzania. Oczywiście inny czas, inny poziom artystyczny, ale duch wewnątrz ten sam, duch na wskroś francuski.

Zabawy z braćmi bywały łobuzerskie, szczególnie te w ogrodzie. Huśtanie się na lianach, które łącznie z drzewami tworzyły gąszcz na obrzeżu nad śluzą, wysokim i stromym, powodowały obrażenia, podrapania i sińce, za co obrywaliśmy niezłą burę.

Gorsza w skutkach była jednak wojna na grudy gliny, które najpierw jako amunicję pracowicie zbieraliśmy na stoku. Wysmarowani, zmęczeni wracaliśmy do domu, gdzie o dziwo (!) czekała tylko ogromna blaszana wanna i kąpiel po kolei od najmłodszego do najstarszego. Dzisiaj takie praktyki wydają się być super niehigieniczne. A jednak byliśmy czysti i zdrowi. Kąpiel w wannie nie była taka prosta. Studnia na pompę żeliwną, bardzo ciężko chodzącą, znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Trzeba było wodę nanosić wiadrami, nagrzać w kociołku. Wanna była duża, bez odpływu, dlatego wodę z niej wylewało się czerpakiem do zlewu. Konieczne czynności wykonywała z godnością, dziobata jak durszłak gosposia zwana Aleksandrową. Każdorazowe wyjście na ulicę obligowało ją do zmiany stroju na wyjściowy i poprawienia makijażu, a nakładała grubą warstwę rózu, by choć trochę przykryć skutki strasznej choroby zwanej ospą. Zawsze przyglądałam się z niemałym podziwem, jak ona to szybko robiła.

Nasze czteropokojowe mieszkanie z kuchnią, przedpokojem i gankiem było urządzone prosto i skromnie. Dębowe meble z epoki modernizmu, robione na specjalne zamówienie.

wienie ojca do zamojskiego domu, bardzo pasowały i do tego również dworku. Zielona otomana z wysokim zapleckiem, pokryta obiciową tkaniną podobną do strzyżonego pluszu, w dotyku szorstkiego, stała na dużym, zielonożółtym dywanie. Obok kąta zajmował komplet salonikowy, skąpo tapicerowany i kryty wełnianym pasiakiem z przewagą zieleni, jakby nawiązującym do łowickich zapasek. Pod oknem frontowym stało mamy biurko z mnóstwem szufladek, a pod nim pokój miały moje lalki i nawet światelko elektryczne zrobił mi Witek z baterijki od latarki. Na środku stał duży stół, normalnie sześćoosobowy, a w razie potrzeby rozsuwany na dodatkowe 4-6 osób. Między dwoma oknami od ogrodu warzywnego, znajdowało się ogromne biurko taty i w kącie kredens. W oknach wisiały muślinowe, białe firanki, podpięte po bokach. Nasze meble, wszystkie zostały zaprojektowane przez ojca, był utalentowany artystycznie i w młodości próbował i malować i rzeźbić. Wielka szkoda, że nie mógł z powodu I wojny światowej rozwinąć swych zdolności.

Babunia, Władysława z Taczanowskich Fabijańska wcześniej owdowiała, gdy syn miał zaledwie 9 lat, a młodsza córka Janina zaczynała chodzić do szkoły. Stało się to nagle, podczas świąt Bożego Narodzenia w Poturzynie, dokąd pojechali w mroźną i śnieżną porę do rodziny sankami. Dziadek, który siedział obok stangreta i zabawiał go rozmową po tej podróży, zachorował na gardło. Silna gorączka, brak lekarza, może i zlekceważenie czy zbagatelizowanie nagłej choroby spowodowały zgon. Został pochowany w Oszczowie koło Poturzyna, bo tam była parafia i cmentarz. Próżno po latach na tym wiejskim cmentarzu szukaliśmy grobu dziadka. Nigdy wcześniej nikt mnie tam nie zawiózł.

Wspomnienia ukazują się w trzeci piątek miesiąca.

Poprzednia część wspomnień „Z rodzinnego albumu”:

<https://www.cultureave.com/z-rodzinnego-albumu-zamosc/>

O Czumowie:

<https://www.cultureave.com/polskie-siedziby-rodzinne-czumow/>

Z rodzinnego albumu. Zamość.

Rozpoczynamy publikację wspomnień Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej, twórczyni historii pojazdów konnych, przez wiele lat związanej z Powozownią Zamkową w Łąncucie. „Z rodzinnego albumu” to losy rodziny pochodzącej z Wołynia, z dramatycznymi dziejami w tle, ale też pasjonująca praca, podróże, spotkania z ciekawymi ludźmi. Autorka dzięki wielkiej wrażliwości i talentowi literackiemu wspaniale nakreśliła życie Polaków, dla których, mimo trudnej historii, polska tożsamość i dziedzictwo kulturowe stanowiły największą wartość.

Kolejne części będą się ukazywać w trzeci piątek miesiąca.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, red. magazynu „Culture Avenue”.



Dom drewniany w Zamościu, w latach 1927-1975 własność Józefa Fabijańskiego, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Moje życie związane jest z kilkoma miejscowościami. Wszystkie są historycznie ważne, kulturowo bardzo ciekawe, artystycznie piękne i słynne.

Urodziłam się w Zamościu – późnorenesansowym mieście-twierdzy założonym w 1580 r. Przez hetmana Jana Zamoyskiego, kanclerza wielkiego koronnego. Miasto to zaprojektował w całości architekt – urbanista włoskiego pochodzenia, Bernardo Morando. Zamość posiada ok. 120 zabytków architektury, do których należą m.in. najwspanialsza kolegiata (obecnie katedra), ratusz wraz z zespołem podcieniowych kamienic wokół rynku, zamek, a może raczej pałac Zamoyskich, przed którym postawiono pomnik założyciela, Jana Zamoyskiego na koniu, wykonany w konwencji znanych arcydzieł renesansowej rzeźby włoskiej. Pięknie się tam prezentuje i przypomina początki naszej Padwy Północy, jak zwykle się określać tę perłę miast. Zabytkiem jest gmach Akademii Zamojskiej (1594), do której uczęszczałam przez sześć lat szkoły średniej, kościół oo. Franciszkanów (przed wojną i po wojnie było

tam kino i sala widowiskowa, gdzie graliśmy przedstawienia i słuchaliśmy koncertów znakomitych artystów polskich). Imponujący swą stylową formą architektury militarnej zespół fortyfikacji związany jest ze znanymi nazwiskami inżynierów i generałów włoskich i austriackich. Zachowana jest pamiątkowa cela, w której rząd carski więził Waleriana Łukasińskiego w latach 1824-26 za działalność patriotyczną. Jedną z pierwszych budowli wzniesionych przez B. Moranda był arsenał, usytuowany obok pałacu, mieszczący dzisiaj ciekawe zbiory muzealne z zakresu militariów. Istnieją cztery bramy wjazdowe w fortyfikacjach miasta z tym, że pierwsza brama Lubelska została zamurowana na pamiątkę przejazdu arcyksięcia Maksymiliana austriackiego po wzięciu go do niewoli w 1588 r. w przegranej bitwie pod Byczyną. Zwycięskie wojska hetmana konwojowały dostojnego więźnia w małej karetce, ale przez tę bramę nikt już więcej nie przejechał. Wybudowano drugą, obecnie zrekonstruowaną. Miasto Zamość zostało wpisane w 1980 r. na listę międzynarodowego dziedzictwa kulturowego i jest Pomnikiem Historii. Jest to także miasto-bohater odznaczone Krzyżem Grunwaldu III klasy.

Na przestrzeni dziejów Zamość wiele wycierpiał. Po pierwszym rozbiore Polski w 1772 r. zajęli miasto Austriacy. Dokonali wielu zniszczeń jego form artystycznych, traktując renesansowe ozdoby np. attyki, jako zbędne dla koszar wojskowych. Zubożona przez to została ich koronkowa dekoracja, jedyna w skali całego rynku, tak unikatowego miasta, gdzie każda kamienica posiadała na parterze podcienia, reprezentacyjne pierwsze piętro (odpowiednik piano nobile w pałacach) i mezzanin z attyką zasłaniającą pogrążony dach, zupełnie niewidoczny. Było to cudownie pomyślane, bowiem dekoracja architektoniczna i sztukatorska, na każdej kamienicy inna, podkreślona tu została kolorem mocnym, ale harmonizującym z całością. Chciałoby się powiedzieć – kolorowe, koronkowe miasto. Niestety, nie przywrócono tego w czasie rewaloryzacji trwającej długie lata 70. i 80., a mającej na celu m.in. „wydobycie zatartych walorów artystycznych”.

Zamość, chociaż uczestniczył we wszystkich wojnach, jakie na tych terenach się toczyły, nigdy nie był zniszczony działaniami wojsk. Twierdza zdała egzamin. Najboleśniej ostatnia wojna światowa lat 1939-1944 (dla tych terenów) pozostała Pomnik Martyrologii w rotundzie odległej od murów miasta ok. 1 km. Jest tam dzisiaj Mauzoleum Martyrologii Zamojszczyzny. Była to niegdyś działobitnia wzniesiona w latach 1825-31 przez rząd carskiej Rosji (od 1815 zabór rosyjski) z

czzerwonej cegły w kształcie obwarzanka z celami wewnątrz i dziedzińcem z bramą wjazdową. Na tym dziedzińcu palono zwłoki więźniów trzymanyh w okropnych warunkach i ścisku. Rozstrzeliwani byli na miejscu. Do dzisiaj brama nosi ślady odłamków kul, a wyrwa w murze po lewej stronie za bramą, za drutem kolczastym – to miejsce straceń. Ginęła tu przede wszystkim inteligencja, działacze ruchu oporu i ludzie o zdolnościach przywódczych. Ginęły tu również dzieci przywożone z terenów pacyfikowanych przez hitlerowców. Ostatni ordynat zamojski, senator Jan Zamojski, wraz ze swoją żoną uratowali 300 dzieci, organizując im opiekę, wyżywienie, mieszkanie i naukę w Zwierzyńcu, gdzie mieszkali w latach okupacji. Te miały szczęście, po wojnie niektóre odnalazły rodziców.

W latach po okupacji hitlerowskiej Zamość leczył rany psychiczne i rozwijał się edukacyjnie i kulturowo. Było dużo szkół, także średnich, teatr amatorski, oczywiście przedstawienia szkolne, rewie, pokazy sportowe, ogniska harcerskie z artystyczną oprawą. Znakomicie dobierało repertuar kino „Stylowy”, do którego chodziło się na najgłośniejsze filmy zarówno zagraniczne, jak i polskie przed i powojenne.

Od 1975 r. podniesiono status miasta na wojewódzkie. Miało to pozytywny wpływ na rozwój urbanistyczny. Powstały nowe osiedla mieszkaniowe. W Akademii Zamoscensis znów otworzono uniwersytet. W hierarchii kościelnej kolegiata stała się katedrą, a w miejsce kolegium powstała kuria biskupia.



Babcia i córki - Czernichów, Ukraina, ok., 1910. Maria z de Schmieden-Kowalskich Piątkowska (ciocia Niusia) - z prawej, Emilia de Schmieden-Kowalska (ciocia Milusia) - z lewej, Maria Joanna z Moszynskich Anzelmowa de Schmieden-Kowalska (babcia) - w środku.

W 1932 roku, w Zamościu, pewnego jesiennego dnia, 30-go września, gdy słońce było w znaku wagi, wydarzyło się coś chyba ważnego w rodzinie Józefa Wita Fabijańskiego i Eleonory z De Schmieden-Kowalskich, w ich własnym domu przy ulicy wówczas Lwowskiej, obecnie Partyzantów. Później komputer mi powiedział, że był to piątek - oznacza to pracowite i postne życie, do tego kryzysowe. Ci, którzy rodzą się pod znakiem „wagi” mają trudne życie, dźwigają swój ciężar, rozważając wszelkie za i przeciw. Ela, moja starsza siostra mówiła mi, że urodziłam się w czasie, gdy cała trójka rodzeństwa poszła na spacer, a gdy wrócili, byłam już ja - czwarte dziecko, najmłodsze i ostatnie.

Rodzice pobrali się w 1923 r. w Łucku, gdzie znajomy dziadków, ksiądz biskup

Dybowski udzielił ślubu w tamtejszej katedrze, obecnie znów oddanej katolikom. Zamieszkali w Zamościu początkowo w wynajętym domu, podobnym do naszego, który już nie istnieje. Tam urodziło się dwoje z mojego rodzeństwa: Ela (1924) i Witek (1926). Później przenieśli się do swojego domu i tu przyszedł na świat Julek (1928) i ja (1932). Potem jeszcze Baśka, córka Witka (1954), a na koniec Wrzesław, mój syn (1957).

Pamiętam rozkład pokoi wtedy, gdy jako trzyletnie dziecko biegałam po domu ślizgając się na zawsze wyfroterowanych podłogach o długich deskach z sękami i dużymi gwoździami. Podłogi te były piękne, lśniące i wymagały ogromnej pracy.

Czas moich narodzin był fatalny. Światowy kryzys spowodował bezrobocie. Dotknęło ono i mojego ojca, który ze stanowiska dyrektora prywatnej fabryki pana Kowerskiego, po jego śmierci i likwidacji zakładu, stracił pracę na kilkanaście miesięcy. Próby założenia własnej fabryki owoców i warzyw suszonych we Włodzimierzu Wołyńskim, skończyły się na plajcie, a wszystkie urządzenia, maszyny, suszarki, krajalnice itp. przyjechały do Zamościa i na strychu domu były przez wiele lat, nawet coś jeszcze zostało po wojnie. A więc nie zostałam córką fabrykanta. Natomiast brak pracy spowodował zwolnienie domowej służby i mój ojciec z konieczności więcej zajmował się mną, niż starszym rodzeństwem. Z ojcem zasypiałam, z ojcem wstawałam w nocy. To dobrze pamiętam. Może dlatego tak bardzo kochałam tego mojego tatusia.



Tata: Józef Wit Fabijański, w mundurze POW-iaka marszałka J. Piłsudskiego, Sypialnia rodziców znajdowała się wtedy w pokoju od północy, oddzielonym od reszty domu przedpokojem. W pokoju jadalnym, centralnie położonym, było mnóstwo białych, filunkowych drzwi. Wchodziło się przez ganek i przedpokój na lewo do dużego pokoju, który długo był naszym dziecinny, na prawo do małego pokoju-saloniku i do kuchni. Naturalnie, szerokie przeszklone drzwi z bocznymi, wąskimi oknami wychodziły na werandę i oświetlały ten przyciemnawy zwykle pokój malowany olejno w modne wówczas boazerie, niby deski na zmianę ciemne i jasne aż do sufitu. Pokój ten był najmiłszy wieczorem, gdy gromadziliśmy się wokół dębowego stołu. Życie rodzinne miało wtedy swój niezrównany charakter ciepła i bliskości. W świetle secesyjnej lampy, której jeszcze szczątki istnieją, siadaliśmy do kolacji, a później każdy coś czytał, szył, czy rysował. Nie było przecież telewizji, więc wieczory były organizowane inaczej. Po wojnie ojciec głośno nam czytał historyczne książki.

Latem, szeroko otwarte drzwi stwarzały szczególny urok tego wnętrza, zwłaszcza w porze obiadowej w słoneczne dni. Nigdy tu nie było upału, a zimą długie promienie kładły się w głąb sięgając stołu. Urocze było to nasze miejsce, takie przytulne i tak łatwe w kontakcie z ogrodem, gdzie jaśmin można było rwać z okna, a duże donice z drzewkami pachnących oleandrów, różowych i fioletowawych, zdobiły dookoła werandę, późnym latem pachniały floksy w różnych odcieniach barw.

Niestety, po wojnie brak pieniędzy, zniszczenia i niedbałość lokatorów podczas lat naszej emigracji oraz totalna niemożność systemu administracyjnego, spowodowały, że dom starzejąc się robił się coraz zimniejszy i mimo gorących pieców temperatura w wietrzne zwłaszcza dni była za niska. Biedni rodzice z ciotką Izią, siostrą mamy, która wróciła właśnie z Kazachstanu jako gomułkowska repatriantka, marzli przez wiele lat i męczyli się w prymitywnych warunkach, jakie wtedy były przecież w Polsce wschodniej powszechne. Ale przywiązanie do tego domu i nasze przyjazdy trzymały ich psychicznie i fizycznie, praktycznie do końca życia.

We wczesnym dzieciństwie zamojskim miałam trzy groźne przygody. Każda z nich mogła zakończyć się tragicznie. Najpierw, jako niemowlę zostałam nakarmiona przez nianię zielonymi porzeczkami. Ledwie mama odchuchała. Później, gdy już chodziłam, weszłam za służącą po bardzo stromych schodach na strych. W połowie drogi straciłam równowagę i spadałam. Szczęściem Jaś Piątkowski, brat cioteczny, właśnie wchodził i złapał mnie w powietrzu za sukienkę. Trzecia przygoda, którą także znam tylko z opowiadania, zdarzyła się na wiosnę. Mogłam mieć wtedy niespełna trzy latka. Starsze dzieci bawiły się w ogrodzie zajęte sobą, a ja dreptałam po grządkach i nagle wpadłam do płynnego śmietnika. Brat zauważył, że mnie nagle nie ma, narobił wrzasku i zostałam wyciągnięta za futerkowy płaszczyk tyczką do zrywania gruszek. Widocznie nie taki koniec mi w niebie przeznaczono.



Mama - Eleonora z de Schmieden-Kowalskich, Józefowa Fabijańska

Z uroczystości rodzinnych pamiętam większy rodzinny zjazd i zaprzyjaźnionych gości kiedy to nas, dzieci było dużo więcej i z tej okazji skorzystała moja siostra urządzając chrzciny lalki - Magdy, ślicznej, porcelanowej, zamykającej oczy z długimi rzęsami. Deska od stołu posłużyła za ołtarz. Lila, siostra cioteczna była księdzem w nocnej koszuli, bracia Witek i Julek służyli do mszy, a po tym wszystkim zaproszono nas do stołu na smakołyki. Pamiętam nasze zabawy w ogrodzie na wiosnę. Gry w „kiczkę” i w palanta, a przede wszystkim w chowanki, gdyż ogród przed domem był nie tyle duży, co gęsto zarośnięty. Pod płotem maliny, przez środek alejka z krzakami porzeczek i agrestów. Drzewa jabłoni, grusze ozdobne krzewy bzów po bokach ganku, sercowaty klomb na osi z bajecznie kolorową mieszanką o każdej porze innych gatunkowo kwiatów. Na obrzeżach, pod płotami sąsiadów rosły złocienie i floksy stwarzając możliwości kryjówek nie do odkrycia. Podwórze, przez które trzeba

było przechodzić do nas, to były ogródki przed i dookoła każdego domu, a było ich pięć z naszym. W tym podwórzu rosła kochia - roślina-samosiejka, której nikt nie pielęgnował, ale rosła bujna, wysoka i rozłożysta, czasem smukła na kształt włoskich cyprysów. W niej najlepsze były chowanki, ale to było możliwe dopiero późnym latem. Lubiłam bardzo bawić się lalkami na schodach ganku, zwłaszcza w upalne dni. Ulubione zabawy w dom z gotowaniem na niby, z szyciem ubranek dla lalek i pożytecznym robieniem na drutach. Byłam w tym wszystkim zwyczajną, przeciętną dziewczynką, ale jedno różniło mnie od moich towarzyszek zabaw dziecińczych. Uwielbiałam wszystko, co piękne: ładne mieszkania, przedmioty artystyczne, stare antyki, musiał być ład i porządek, mieszkanie lalek posprzątane i ozdobione kwiatami, serwetkami, tkaninami, dywanikami. Przytulność, ciepło tkanin były mi zawsze potrzebne. Kiedy mieszkanie lalek, które znajdowało się pod biurkiem mamy, było wysprzątane oddawałam się cała doznaniom estetycznym i każdą zauważoną niedoskonałość, czy szpetotę starałam się zasłonić: obrazem, meblem, tkaniną, lub kwiatem, aby nie raziła oczu, aby nie budziła poczucia wstydu, czy zażenowania.

Zamość z dzieciństwa i lat trzydziestych, pozostał w mej pamięci uroczysty, świąteczny, wyjątkowy. Pamiętam dobrze nastrój przedświąteczny w naszym domu i ogromną choinkę do sufitu, stojącą na dywanie francuskim w naszym, dziecięcym pokoju. Paliły się na niej lampki Philipsa kolorowe, podobne w kształcie do dużych śliwek. Bombki, łańcuchy z kolorowego, glansowanego papieru, paciorkowe kapliczki, koszyczki z wydmuszek i dzbanuszki czy ptaki, a wreszcie soplowate cukierki w błyszczących papierkach, pierniczki, szyszki, orzechy i czekoladowe cudeńka w cymfoliach - sprawiały, że choinka była bogata i przyciągająca największe łakomczuchy. Może w tym roku, ostatnim przed wyjazdem do Hrubieszowa, dostałam na gwiazdkę ukochanego Bila - psa-zabawkę z niebesko-żółtej flaneli z noskiem czarnym i pyszczkiem w pepitę. Został zapomniany na piecu, ku mojej rozpaczy.

Inspiracją i pobudzeniem wyobraźni dziecięcej byli kolędnicy, chłopcy z sąsiedztwa zarówno ci, co śpiewali: „po kolędzie, głośno wszędzie, niech pan Fabijański zdrów i wesół będzie ...”, jak i też ci, którzy przychodzili do kuchni z jasełkami posługując się kukielkami własnej roboty i tekstami anonimowych autorów ludowych. Najbardziej podobała mi się kolorowa, duża gwiazda, którą obracał chłopak ubrany w kozuch do góry włosem, gwiazda wtedy rzucała coraz to inny migotliwy blask od

zapalonej w środku świeczki. Była dla mnie czymś niezwykłym, przepięknym, magicznym. Wśród jasełkowych postaci obowiązkowo musiał być diabeł, król Herod i Żyd w świetnych, karykaturalnych przebraniach. Kolędnicy po występie dostawali ciasto, łakocie i pieniądze. Pamiętali to do następnego roku.



Józef Wit Fabijański jako szwoleżer, ułan I-go Pułku Szwoleżerów w Warszawie stoi pod Belwederem, 1918/19

Na Wielkanoc punktem kulminacyjnym przygotowań było pieczenie drożdżowego ciasta w prawdziwym, babowym piecu, który przetrwał do końca bytu moich rodziców, mimo, że zajmował 1/4 kuchni. (Baby Wielkanocne piekło się w ogromnych, kamiennych formach karbowanych, okropnie ciężkich). Do pomocy w tym okresie przychodziła sympatyczna kobieta zwana Antoniową. Przynosiła z sobą

lampę naftową, którą zapalała wieczorem w sieni dla „pokutujących duszyczek”, jak mawiała. Wyobraźnia dziecięca intensywnie wtedy pracowała, chcąc koniecznie ujrzeć taką duszyczkę.

Zamość przedwojenny pozostał w pamięci, jak kilka barwnych plam na obrazie impresjonistycznym. Nałożyły się na nie ciemniejsze kolory okresu stalinowskiego, biedy i przygnębienia, represji i podłości. Ale nie chcę Zamościa wspominać z tego smutnego okresu, przynajmniej nie teraz.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ZURAWSKA ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL) otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki - III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i ponad 100 artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu (IATM) przy ICOM (International Council of Museums), reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The Transport Museums”. Miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i

na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony, odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki, m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem.

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.



Pałac w Czumowie

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

W Czumowie

Mieszkam dziś w pałacu z elegancką wieżą

*Obok tuż zielone, pyszne łąki leżą,
Dalej, hen za Bugiem, świecą nagie piaski,
Jakby zabuźniakom skąpił Pan Bóg łaski.
Bliżej ciemną falą niesie Bug ponury,
Niesie i uderza nią o strome góry,
Lub po niskim brzegu sunie ją łagodnie,
Tak wędruje fala całe dnie, tygodnie,
Aż się wreszcie złączy z falą Matki-Wisły
Której źródła także w polskiej ziemi trysły.
I po jej korycie biegnie w świat daleki,
Bo nasz Bug i Wisła, to dwie polskie rzeki.*

*Z innym kto widokiem zwrócić chce swe oczy,
Niech na balkon wieży murowanej kroczy.
Stamtąd jak na dłoni widzisz pola, góry.
Które, zda się, w dali są podporą chmury.
Na zachodzie widać ciemną ścianę gaju,
A na północ góry nieco odchylają
Widok na część tylko wschodnią, Hrubieszowa,
Reszta się dyskretnie za pagórkiem chowa.*

23.VI.1909.

Wiersz ten napisał młody guwerner dzieci Pohoreckich, do których pałac czumowski należał do I wojny światowej. Guwerner ten był historykiem z wykształcenia. Nazywał się Antoni Wiatrowski. Później mieszkał z rodziną w Hrubieszowie, uczył w liceum i pisał pierwszą monografię dotyczącą Hrubieszowa i okolic. Nie znałam go osobiście, ale z jego najmłodszą córką chodziłam do jednej klasy. Przyjaźniłyśmy się. Po latach, pogubione, po wojnie odnalazłyśmy się. Byłyśmy razem w Czumowie i efektem odnowionej przyjaźni są przysłane dla mnie odbitki rysunku pałacu z 1910 r. i wiersz. Piękna sprawa. Te młode drzewa na rysunku, w moich czasach były ogromnymi lipami, a dookoła było pole z cudownymi alejami, sad, rosarium przed pałacem, warzywnik od strony Buga i cudowne spacerki.



Pałac w Czumowie, rys. Antoniego Wiatrowskiego z 1910 r.

Pałac w Czumowie pobudowany został na wyniosłym brzegu rzeki Bug, w wyjątkowo pięknym krajobrazie, wybranym przez ludzi, ale obdarzonym przez Boga szczególnym urokiem. Pradolina Bugu między wsią Gródek, niegdyś jednym z grodów Czerwieńskich, a czumowskim dworem nosi nazwę „Królewskiego Kąta” na pamiątkę historycznej przeprawy Bolesława Chrobrego w drodze na Kijów. To tutaj Świętopelk witał polskiego króla. Pałac, swym usytuowaniem i tarasami patrzy na ten rozległy widok, na płynącą zakolem malowniczym rzekę, jej oba brzegi - łagodny i stromy i na prehistoryczne wzniesienie z Gródkiem.

Dzisiejsza budowla powstała zapewne w końcu XIX w. wchłaniając, być może, wcześniejszy dwór szlachecki. Rodzina Pohoreckich (Edward zakupił dobra czumowskie od Kazimierza Andrycza w 1891 r.) powierzyła zaprojektowanie siedziby dwóm włoskim architektom, których nazwiska nie są nam znane. Zgodnie z panującą

w epoce „fin de siècle” modą, powstała budowla rozrzutna z obszernymi suterunami, pretensjonalną wieżą - klatką schodową, dużymi komnatami, tarasami widokowymi, dwoma gankami, podjazdem, kaplicą i pomieszczeniami gościnnymi na piętrze. Eklektyczna architektura z przewagą stylu klasycystycznego jest mieszaniną rustykalnej willi włoskiej, z dworem polskim i bogatą kamienicą mieszczańską, z dodatkiem romantyzmu w cebulkowatych hełmach: dużym przykrywającym wieżę i w wykończeniach dziś nieistniejących sterczynek na narożnych skarpach. Otaczał go niewielki park spacerowy, ogród warzywny i sad od strony zachodniej. Na obrzeżu skarpy posadzono miodne lipy, które tworzyły zielony parawan od północy otulając pałac i zasłaniając od chłodu wiatrów zza Buga. Dojazdowe aleje - topolowa prowadziła przez zabudowania folwarczne, kasztanowa przed ganek paradny. Trzecia aleja, niezwykła, ze starych orzechów amerykańskich, łączyła folwark z czworakami, wyznaczając jednocześnie kres parku.

Historia czumowskiego pałacu wiąże się ściśle z historią dwudziestowiecznej Polski. Do I wojny światowej siedziba rodu arystokratycznego, w czasie wojny austriacki szpital wojskowy, lazaret wojenny. Od 1913 r. pałac odziedziczył Władysław Pohorecki. Po wojnie zniszczony budynek nie od razu był zamieszkały. Wiadomo, że w 1931 r. ziemię orną, o powierzchni ponad 300 ha, folwark i pałac przejęła w dzierżawę wdowa Maria Piątkowska z De Schmieden-Kowalskich (moja ciocia Nusia, najstarsza siostra mamy) do spółki z Pawłem Kubaszewskim. Piątkowscy gospodarowali i mieszkali w odremontowanej zachodniej części z wieżą, praktycznie do wybuchu II wojny światowej. We wrześniu 1939 r. rodzina musiała opuścić Czumów. W pałacu, zdewastowanym przedtem przez zapędzone wojska sowieckie, urządzano koszary dla straży granicznej zw. Grenschutz. Przeprowadzony przez Niemców remont zniszczył elementy stylowe architektury, wycięto drzewa i krzewy, oszpecono lipy.

Teren parkowo-ogrodowy został ogrodzony zasiekami i drutem kolczastym, pilnowały go specjalnie tresowane owczarki alzackie gotowe rozszarpać każdego, kto by zechciał tam wtargnąć. Latem 1944 r. ten stan koszar - więzienia przejęło polskie Wojsko Ochrony Pogranicza (WOP). W rok po wojnie, w 1946 r. Pałac z otoczeniem przeszedł na skarb państwa. Przejął go Państwowy Fundusz Ziemi. Po wschodniej stronie pałacu, tej reprezentacyjnej w zamyśle architektów -budowniczych, gdzie

były duże i szerokie komnaty, miejscowa gmina ulokowała Szkołę Podstawową. W zachodniej zamieszkali pracownicy Państwowego Gospodarstwa Rolnego (PGR). W każdej komnacie jedna rodzina wraz z własnym inwentarzem. Coraz bardziej zaniedbany i zdewastowany pałac powoli pustoszał. Przeniosła się szkoła, wyprowadzali się ludzie w miarę przybywania dziur w dachu. Wreszcie w 1988 r. został sprzedany trzem prywatnym osobom, z których jedna zmarła, dwie pozostałe podzieliły się i terenem i pałacem. Powoli obaj właściciele starali się doprowadzić do stanu kwitnącego, może nawet bogatszego niż był. Doprowadzony został prąd i woda, zrobiona nowa kanalizacja, położone nowe stropy, pokrycie dachowe, tynki zewnętrzne, zagospodarowane sutereny. Powstało miejsce wypoczynku, konferencji, zjazdów, letnich pikników. Wygląd otoczenia zmienia się z roku na rok. Stała reprezentacyjna brama u wjazdu, odgrodzono estetycznie część wschodnią z dawnym warzywnikiem, dzisiaj rozległym trawnikiem.

Marzę o tym, by doczekać chwili, gdy będę mogła pojechać tam i bodaj na krótko zamieszkać, koniecznie w maju, posłuchać koncertów słowicznych i żabich, popatrzeć na wstęgę Bugu, świeżą zielen różnych odcieni i odmian krzewów wikliny, odszukać jedyne stanowisko szczodrzenia wśród płatów roślinności stepowej.

Od 1997 r. obszar pałacowo-parkowy znalazł się w obrębie „Nadbużańskiego Obszaru Chronionego Krajobrazu” i przeznaczony jest pod usługi kultury i turystyki.

Z Hrubieszowa do Czumowa jeździliśmy końmi, które po nas przysyłano, najczęściej była to małopolska bryczka, ale pamiętam i sanie. Odległość 7 km to niedaleko, lecz podróż ta była całą wyprawą przez lessowe podłoże, polskim gościńcem. W letnią suszę less zamieniał się w tumany kurzu, a w deszcze w błotnistą, nieprzejezdną maź. Nie było możliwości ominięcia jednego niebezpiecznego miejsca, bo część drogi biegła wąwozem, zostawiając po prawej pola folwarczne, a po lewej wysokie wzniesienie z miejscowością Gródek, nie widoczną z drogi. Po przejechaniu wąwozu, z daleka widać było aleje starych drzew. Po drodze rosły jeszcze inne drzewa, duże, liściaste, szumiące i po obu poboczach drogi zarośla, krzewy, piękne osty i mnóstwo kolorowych kwiatów polnych, których nazw nigdy nie zapamiętałam. Gatunki wyjątkowe, jak mówią znawcy – roślinność stepowa.



Pałac w Czumowie, fot. z lat 90. XX wieku. Dwie małe postacie przed pałacem, to dzieci Antoniego Wiatrowskiego, guwernera dzieci Pohoreckich
Pachniało tam łąkami soczystymi i ukwieconymi, koniczyną i miodnym rzepakiem, którego złote łany szczególnie przyciągały oczy. Po lewej, w „Królewskim Kącie” malowniczo układały się krągłe krzewy łożyny w przeróżnych odcieniach zieleni i srebrzystości. Bieg rzeki miękką linią rysowały wikliny wplątane w chaszczę, ponad którymi lubiły strzelać wysokie, dorodne, złociste dziewanny.

Podjeżdżaliśmy pod pałac zawsze przez czworaki dworskie, biało pobielane, strzechą ze słomy kryte, ciągnące się po lewej na płaskowyżu, zaraz na początku wsi. Aleją kasztanową, za którą były pola pszeniczne, przez mostek na kanale, koło starego kasztanowca z drewnianą wiszącą kapliczką, miejsc wieczornych śpiewów majowych, mijając cudowną aleję orzechów amerykańskich, bardzo rzadkich (spotkałam takie

same na wyspie św. Małgorzaty w Budapeszcie i Lexingtonie w Stanach Zjednoczonych – tylko te dwa razy, a szukałam wszędzie w licznych moich wędrówkach po świecie). Aleja ta okalała łukiem południowo-zachodnią część parku, prowadząc do zabudowań gospodarczych fornali, a dalej do folwarku dworskiego. Od pałacu szło się na folwark drogą dzielącą sad i jagodnik, gdzie były truskawki i poziomki ogrodowe w grzędach oraz rajskie jabłonie, z których jabłuszka rumiane smażyło się w syropie w całości, razem z ogonkami, by później zdobiły torty i mazurki świąteczne. Konfitury z truskawek znakomicie smakowały w ciasteczkach zwanych „trzewiczkami”. Babunia chowała je w wielkim blaszanym pudle po herbacie cejlońskiej. Pachniało nimi zawsze w kredensie. Zapach nagrzanym słońcem poziomek towarzyszy mi do dzisiaj. Bardzo chciałam stworzyć namiastkę tego drogiego mi wspomnienia we Wrzechowym (mojego syna Wrzesława) ogrodzie, ale nie dano mi, cieszyć się tym cudem natury.

To, co było ciekawe dla mnie, wówczas dziecka 5-6 letniego – to oczywiście zakazany folwark, z jego oborą, stajnią, zagrodą dla końskiej młodzieży, chlewnią, parnikiem, kuźnią, rymarnią, stelarnią, stodołą, gdzie ogromna lokomobila z wyciem młóciła dorodne zboże, a furmanki co jakiś czas odwoziły załadowane ziarnem worki do spichlerza. Ta podróż na workach była szczytem radości i dumy, im wyżej, tym lepiej.

Kiedyś ubrana w czarną, aksamitną sukienkę (po Eli) z białymi mankietami i kołnierzem „bébé” asystowałam przy młócce w pyłe, który osiadał na aksamicie zmieniając czerń w szarość. Co się działo we włosach, nie chcę nawet wspominać. Najbardziej lubiłam wyprawy z Witkiem (bratem, Wiktorem) poza folwark w pola i łąki, gdzie wypatrzone gniazda trzmieli były celem słodkiego miodobrania. Jedna z wypraw mogła zakończyć się fatalnie – zostałam użądlna w szyję. Piekący ból i opuchlizna wyciskały potoki łez. Witek był przytomny: wygrzebał w stoku grudkę wilgotnej gliny i natychmiast przyłożył. Zostałam uratowana i oboje uniknęliśmy lańska.

W większym gronie dzieci wybieraliśmy się daleko w pola. Składano tam słomę po młócce i układano pracowite sterty na kształt domu z dwuspadowym dachem. A my właśnie w tej słomie kopaliśmy tunele lub zjeżdżaliśmy na pupach z samej góry na dół, naturalnie niszcząc pracę ludzi. Za to spotkała nas kara: źdźbła słomy wbijały się w miękkie części ciała i było z tym wiele kłopotu. Takich jednak zabaw nie było

nigdzie i nigdy już potem.

Gdy byłam sama, lubiłam bawić się w podróż. Siadałam wtedy na ganku od wschodu, rozkładałam koce i obłożona lalkami i niby bagażami podróżowałam w dalekie kraje. Te marzenia częściowo się spełniły.

W Czumowie były pamiętne i uwiecznione przez mojego ojca na fotografiach, dalekie spacerzy z dorosłymi, hen, pod stok wzgórza gródeckiego. Po latach dowiedziałam się od siostry Eli, jakie to ciekawe archeologicznie miejsce. Gródek uważany jest za jeden z Grodów Czerwieńskich. Wyniki badań są znane i opublikowane przez Muzeum Okręgowe w Lublinie.

Inną przyjemnością i atrakcją były spacerzy końmi. Dla młodzieży linijka na trzy, cztery osoby siedzące bokiem na długim siedzisku tapicerowanym i bardzo spokojna szkapa w półszorku. Kiedyś Lili udało się nas wysypać do rowu. Czasem brakowało mojego rodzeństwa, bo rodzice delikatni, taktowni nie chcieli narzucać się z czwórką dzieci, mimo usilnych zaprosin. Często więc na wakacjach byliśmy rozparcelowywani: Ela do Wiszniowa do Lili, Witek do Zarzecza do dziadka Taczanowakiego, Julek do pp. Du Château w Raciborowicach lub Strzelcach pod Hrubieszowem, a ja zostawałam z mamą, ciocią i babcią.



Rodzina Fabijańskich - mama (Eleonora z de Schmieden-Kowalskich), Witek (Wiktor), tata (Józef Fabijański), Julek (Juliusz), Ela (Elżbieta) i Teresa Zofia, z kokardą (autorka wspomnień)

Nudziłam się tego pięknego i upalnego lata 1939 r. toteż biegałam na zakazane mi czworaki i z dziećmi folwarcznymi poznawałam życie. Miałam wtedy niespełna siedem lat, we wrześniu miałam rozpocząć szkołę, tymczasem edukowali mnie chłopcy sadownika. Już wiedziałam w jaki sposób podbierają jabłka z sadu, jak pracują kowale, że rozżarzone żelazo parzy, do czego jest potrzebny byk w oborze zawsze z kółkiem w nosie, prowadzany na drągu. Uwielbiałam asystować przy dojeniu krów, nie przeszkadzał mi zapach gnoju, ani specyfika obrządku bydła, za to lubiłam moment, gdy napełniano miski świeżym mlekiem i nie wiadomo skąd brało się mnóstwo kotów. Dawały się głaskać i mruczały przymilnie. Za stodołą, na kieracie dzieci uczyły dzieci skąd się biorą dzieci. Nie byłam pojętna w tej materii i długo, długo tkwiłam w nieświadomości. Natomiast wielkie wrażenie graniczące ze

zdziwieniem spotkało mnie w izbach folwarcznych czworaków. Czystość i schludność w jedności z ubóstwem i prymitywem. Czworaki, chociaż tak je nazywano, nie były typowe, jakie spotykało się we dworach; a więc budynek drewniany, kwadratowy, kryty strzechą lub gontem, czy dranicami, podzielony wewnątrz na cztery równe części, w każdej jedna rodzina. Czumowskie raczej przypominały wołyńskie chałupy małorolnych czy bezrolnych wieśniaków. Wydaje mi się, że były to lepianki z gliny, pobielone, długie prostokąty, w każdym dwa lub trzy wejścia, przed każdym ławeczka. Przed wejściem „chodniczek” wylepiony gliną, po bokach ogródki z mnóstwem kolorowych kwiatów wiejskich, zagródka dla kur z płotem plecionym gęsto z wikliny i większe krzewy oraz malwy, słoneczniki, bób, fasola, groch. Wnętrze, które zapamiętałam było bielusieńkie, czyste, przestronne z wielkim piecem na 1/4 izby wylepionym gliną i pobielonym wapnem. Płyta do gotowania żeliwna, z fajerkami. W jednym otworze tkwił sagan żeliwny na ciepłą wodę, pod płytą buzował wesoło ogień z chrustu zbieranego w lesie, w parku i z odpadów ze stelmarni. Gotowano właśnie kluski na wieczerzę. Zostałam zaproszona wraz z trojgiem innych dzieci, moich wakacyjnych przyjaciół. Wszystkie dzieci usiadły na polepie, bo w izbie nie było podłogi z desek, wokół stołka do dojenia krów, na którym postawiono glinianą dużą miskę ze strawą. Każde pilnowało swojej drewnianej łyżki i spożywanie odbyło się niezwykle prędko. Bardzo smakowały mi te kluski ze skwarkami. Potem starsi ludzie posiadali na przyzbach i bajali sobie, a dzieci oplatając rączkami kolana, wpatrywały się w rozpryskujące co chwilę iskierki, które natychmiast gasły, ale ogień igrał dalej dając tajemnicze cienie pełzające i tańczące po ścianach i prostych sprzętach. Stworzył się niepowtarzalny nastrój zadumy, było cicho, sennie i świerszcze zaczynały swój monotony koncert.

W Czumowie nie było światła elektrycznego, życie więc płynęło zgodnie z naturalnym zegarem – paniem kogutów, wschodami i zachodami słońca. Ta wielka, czerwona kula nad wstęgą Bugu gromadziła nas w domu, gdzie szykowano lampy naftowe i kąpiel. Jedno i drugie roznoszono do sypialni i pokoi gościnnych. Lubiliśmy jeszcze chwilę posiedzieć na nagranych słońcem kamiennych schodach przy wieży czując, jak mury oddają swe ciepło. Jeszcze teraz, gdy od czasu do czasu odwiedzam Czumów, mam to wielkie pragnienie, by posiedzieć na wiekowych stopniach, wciąż przecież tych samych.

Z Czumowem wiąże się nie tylko ostatnie lato przedwojenne, beztroskie, najbardziej

zapamiętane, ale i to, co bardzo smutne i tragiczne dla rodziny, dla kraju: początek wojny i nasza wędrówka za Bug, nasz uchodźczy los.

Już pierwsze dni września zaczęły być tłumne od ludzi zwanych przez nas uciekinierami z Poznania i z Warszawy. Było ich coraz więcej i zajmowali wszystkie możliwe do spania miejsca. Ciocia Niusia, która ledwie wróciła po szpitalu z Warszawy, dwoiła się i troiła wraz ze służbą, nie tak znów liczną, szykując wciąż nowe pomieszczenia, posłania i posiłki. Panowała psychoza lęku, wręcz panika. Jedni wyjeżdżali gdzieś dalej na wschód, na ich miejsca zaraz przybywali nowi. Opowiadali straszne rzeczy, jak wojska niemieckie palą i niszczą naszą ojczyznę. Ludzi traktują, jak bydło, każą porzucić domy i mieszkania. Wywożą nie wiadomo dokąd. Te wieści dochodziły zewsząd, niesione przez ludzi do ludzi, budząc strach, dezorientację, naruszając dotychczasową normalność i stabilność. Mroziły krew w żyłach. Wszyscy panicznie bali się Niemców. Ojciec mój (miał jut czterdzieści lat i był w rezerwie) otrzymał długo wyczekiwane wezwanie do wojska. Miał się stawić 9 września w Tomaszowie Lubelskim. Pożegnał więc nas mocno tuląc, ucałował mamę i poszedł ... poszedł na wojnę...



Pałac w Czumowie

A my po kilku dniach z Hrubieszowa, wróciliśmy do Czumowa, bo szkoły były zamknięte, nie było chleba i jakoś straszno się wkoło zrobiło. W Czumowie zresztą też, ale tu przynajmniej jeszcze było mleko i piekło się chleb.

Ludzie opowiadali dziwy. Pamiętam, jak stróż nocny przyszedł do babci i zdeenerwowany, wstrząśnięty opowiadał nieskładnie o zjawisku na niebie. Można sobie wyobrazić czerwone, ogniste słupy dookoła nieba, a w środku jakby ręka krwawa z sierpem. Czyżby to był widomy znak od Boga? - nie każdemu dane było to widzieć. Stróż był człowiekiem starym, wolno myślącym. Nie wiedział, co powinien był zrobić. Był przerażony. Nie wiedział czy ma obudzić ludzi we dworze, czy to nie zniknie, czy w ogóle mu się nie śni? Na drugi dzień komentowano to zjawisko i tłumaczono jako zorzę polarną, która z rzadka, ale pojawia się pod tą szerokością geograficzną.

Cała ta historia zrobiła na mnie ogromne wrażenie, zresztą do dzisiaj uważam, że był to znak Boży - ostrzeżenie przed panowaniem komunistów przez pół wieku. Krwawa kurtyna i krwawa ręka z ich symbolem: sierpem i młotem. Prosty człowiek nie

zmyśliłby sobie tego, był bardzo przejęty, poruszony.

Tymczasem wrześniowe dni były coraz straszniejsze, panika coraz większa, wieści napływające do nas przerażające. Babcia i mama postanowiły zabrać nas, dzieci i wyjechać za Bug, do rodziny ojca, do Taczanowskich w Zarzeczu pod Uściługiem, aby połączyć się z nimi i być dalej od Niemców. Przewidywano, że rzeka Bug ich zatrzyma.

Nikt z folwarku nie chciał jechać, żeby nie rozdzielać się z rodziną. Tylko jeden fornal o nazwisku Reguła, który był bezżenny, a miał rodzinę na Wołyniu, zdecydował się pojechać z nami. On powoził końmi w bryczce, a furmanką pan Jankowski, jeden z uciekinierów. I stało się. - Wyruszyliśmy w dwa zaprzęgi dwukonne: w bryczce jechała babcia, mama, ja u ich stóp, stangret i Ela na koźle. Na furmance z rzeczami i prowiantem siedzieli moi bracia w harcerskich mundurkach i czapkach rogatywkach oraz pan Jankowski za furmana. Każde z nas zabrało ze sobą to, co uważało za najdroższe sercu. Witek i Julek zabrali albumy ze znaczkami, które z pasją zbierali. Ela komódkę z laki, bardzo ładną z zawartością drobiazgów i bibelocików, ja śpiącą lalkę Magdę, ślicznej buzi - nasze skarby. Zmieściły się łatwo w schowku pod siedzeniem w bryczce.

Mama, niestety nie zabrała wiele z ubrania dla naszej czwórki, bo wszystko zostało w Hrubieszowie. Na furmance było trochę suchej żywności takiej, jak mąka, kasze itp. Jechało się przecież do majątku ziemskiego, więc chodziło tylko o podstawowe produkty, reszta miała być we dworze. Bug przepłynęliśmy ostatnim promem odcinając sobie odwrót. I tak zaczęła się nasza wędrówka. Teraz my staliśmy się uciekinierami.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem

Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki - III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łąncucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM/International Council of Museums/, reprezentując Polskę i Łącut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The Transport Museums”. Miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony, odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki, m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem. Kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.